

# KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

**ARTUR GRUSZECKI.**

14

— A ładna?  
— Nie wiem... nie patrzałem... ot, ujdzie sobie.  
— Już mnie nie oszukuj, tobie byle spódnica, a oczy wypatrujesz... więc ładna? młoda? świeża?  
— Tak... dosyć.

— No, to już napewno ma protektora, bo nie darmo mówią o kolejarzach, że każdy ma dwie żony... ale nasza stacya, to nie dom zajezdny. Nie zniosę tego i zaraz powiem, przy pierwszym spotkaniu z inspektorem Lerche.

Cierpliwość naczelnika wyczerpała się a przewidywanie nastąpić mających scen rozjątrzyło go, to też rzekł gniewnie:

— A mów, nie mów! Daj mi spokój, muszę pracować.

— Tak przemawiaj do służby, nie do mnie. Rozumiesz? — zawołała zaczerwieniona. Z takim gburem nie myślę rozmawiać... już ja się wywiem o wszystkim, a wtedy pogadamy ze sobą.

Pósza dumna i obrażona, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Naczelnik patrzył zły to na drzwi, to na papier rozłożony, wreszcie rzucił piórem o stół i rzekł półgłosem:

— Dyabli nadali tę kasyerkę... to tak zawsze z babami!

Wyszedł na peron i z miejsca zwymyślał posługaczy za śmiecie, niedopałki, portyera za rozsiadanie się na ławce i szedł dalej, szukając sposobności, ażeby na kimś wyrzucić swój gniew.

Widząc służbę, przesuwającą wagony na torze, patrzył przez chwilę, wreszcie krzyknął tubalnym głosem:

— Hej, wy tam, opryszki! Dlaczego „szybujecie“ na „geleize zwei?“ A bodaj was ubito!

— Pan asystent kazał.

Na hałas i głos naczelnika wybiegł z biura asystent pełniący służbę, w czerwonej czapce. Do niego zwrócił się naczelnik:

— Co to znaczy to „szybowanie?“ Czy nie wie pan, że „geleize zwei“ musi być „bahnhofsfrei“, ja mam uczyć pana?

— Panie naczelniku „personka“ ma „verspatung“, więc pozwoliłem, ale zaraz każe „zabremzować“.

— „Bremzować!“ „Bremzować!“ — drwił naczelnik — a pewnie „odblokowali w ajchy“ i nieszczęście gotowe.

— Zaraz zobaczę.

— Czekaj pan... idź pan do telefonu i zapytaj „personkę“ na „vorstacy“ o „verspatung“.

— Dobrze — zwrócił się do biura swego.

— Czekaj pan... czyje to graty na torze? Dlaczego pan pozwala na urządzenie tu składu żydowskiej starzyzny?

— To panie naczelniku rzeczy nowej kasyerki... zaraz każe zabrać.

— Zaraz... zaraz — kpił naczelnik — już powinno być uprzątnięte. Hej! Dwójka i ty drugi — zawołał na posługaczy — zabrać mi to i... zanieść do kasyerki... A, dyabli ją tu przynieśli.

— Panie naczelniku — odezwał się nieśmiało urzędnik — czy mam iść do telefonu?

— Czy ja będę uczył pana służby? — krzyknął zaczerwieniony — albo pan ją zna, albo nie!

— Już idę — rzekł i szybko się oddalił.

Naczelnik po rozmowie ze żoną już się trochę wysapał, krzyk i wymyślania zrobiły mu ulgę. Zajrzał do restauracyi, skrzyczał garsona śpiącego w kącie i wszedł w długi kurytarz, gdzie w końcu była kasa biletów jazdy. Widok kasy przypomniawszy mu Trawecką, otworzył drzwi do niewielkiego pokoju, oświetlonego jednym oknem zakratowanym, z widokiem na peron. Tu pracowało trzech urzędników: kasyer osobowy, kasyer pakunków w pociągach osobowych i pisarz. Mimo otwartego okna panował tu zaduch ciasnego, wilgotnego biura i dym z tytoniu.

Naczelnik stanął we drzwiach, a spojrzawszy surowo na podwładnych, narzekał:

— Taki u was smród, brud, aż ciemno od dymu... Kazać wywietrzyć i pozamiatać... Panie Flegem — zwrócił się do kasyera osobowego — przyjechała kasyerka, pan nauczysz ją manipulacyi z biletami.

— Czyż ona nie umie? — uśmiechnął się Flegem, młody, zgarbiony brunet z rysami semickimi.

— Spytaj się pan dyrekcyi... powiedziałem nauczyć i basta.

— Ależ jutro mam wyjechać na nową posadę, panie naczelniku.

— Wyjedziesz pan później, przecież nie będę sam sprzedawał biletów! Rozumiesz pan?

— Rozumiem, ale ja?

— Żadne ale — zawołał surowo — po nauce jedź pan sobie, gdzie chcesz.

Powiedziawszy to, wyszedł zamykając drzwi z trzaskiem. Następnie zwiędził miejsce postojni furmanek przed dworcem. Był to placyk wybrukowany nierówno, zaśmiecony sianem, sieczką, zmietnymi papierami, a silna woń amoniaku wydobywała się z pomiędzy kamieni.

W tej chwili posługacze nieśli rzeczy Traweckiej. Naczelnik widząc ubogie sprzęty, wzruszył ramionami mówiąc:

— Miała też co przywozić — i spojrzawszy na kamienicę dwupiętrową, szarą, koszarową, stojącą za drogą w pobliżu dworca.

Patrzył w okna na drugim piętrze, gdzie było mieszkanie Traweckiej. Po krótkiej chwili wychyliła się z okna Janina. Na jej faliste blond włosy padły promienie słoneczne i położyły je tak, że zdawało się, iż aureola świetlana otacza jej piękną i zaróżowioną twarz.

— Ładna bestyjka! — cmoknął ustami naczelnik — ale co mi ten Lerche narobił — westchnął głęboko — będę miał krzyż pański, byle jakoś wytrzymać — odwrócił się chmurny i poszedł do swego biura.

Gdy Janina zażądała klucza od portyera, ten zaczął ją nie tylko bardzo uprzejmie, ale i pokornie przeproszać, że niema klucza przy sobie, ale zostawił go u żony, która kończyła sprzątać mieszkanie i zawsze gotowa jest do usług.

— Dziękuję, poradzę sobie sama — powiedziała przyjaźnie, ujęta jego uprzedzającą grzecznością.

— Ale gdzież znów? — oburzył się — przecież pani potrzebuje usługi — i zwracając się do posługacza, zawołał: — Łukaszu, zaprowadźcie panią do mieszkania, drzwi numer 10, u mojej jest klucz — a do Janiny zwrócił się z niesprawiedliwieniem:

— Bardzo przepraszam panią kasyerkę, że sam nie idę, ale służba mi nie pozwala.

Idąc za posługaczem rozmyślała, jaki ten portyer usłużny i przyjemny, jaki on inny od portyera i woźnych w dyrekcyi, którzy każde polecenie wypełniali jak z łaski. Prawda, że mam też inne tu stanowisko, jestem kasyerką etatową, a nie manipulantką.

Spojrzała na szarą, dwupiętrową kamienicę, zbudowaną jak liche koszary, a wobec pół uprawnych, lśniących szmaragdem, wobec lasu szpilkowego, skąd zalaływał zapach żywiczny, kamienica ta wąska a wysoka robiła smutne wrażenie.

Posługacz w brudnym, wąskim, długim kurytarzu parterowym przystanął, oznajmiając, że idzie po klucz do pani portyerowej.

Po chwili wyszła z dalszych drzwi dość otyła, niemłoda kobieta, w kaftaniku i spódnicy perkalowej, z twarzą czerwoną, połyskującą i trzymającą klucz w ręku, zawołała:

— Sama otworzę paniusi... dzień dobry... posprzątałam a jakże... podłogę wyszorowałam — i szła pospiesznie po brudnych, stromych schodach, mówiąc: — będzie pani miała elegancki pokój... pan inspektor wyrzucił magazyniera, aby pani miała ładne mieszkanie.

— A gdzież mieszka teraz magazynier? — spytała Janina.

— Obok naszej kamienicy... w tym parterowym domu... ma stancję i kuchnię... mieszkanie mniejsze, ale trudno, pan inspektor sam kazał, to już niema co mówić.

Na drugim piętrze był znów kurytarz wąski i długi, jasno oświetlony, na który wychodziły okna kuchenne poszczególne mieszkań. Na kurytarzu panowała mieszanina zapachów kuchennych, przepalone tłuszcze, zbiegłe mleko, jakieś zapachy cebul, jarzyn, kartofli, i zabawiało się w nim dużo małych i jak zwykle krzykliwych dzieci.

Z otwartych okien i drzwi wychyliły się na odgłos kroków i rozmowy różne głowy niewieście, a niektóre kobiety wyszły na kurytarz, ażeby widzieć nową lokatorkę.

Przed drzwiami, oznaczonemi nr. 10, stanęła żona portyera, a otwierając rzekła:

— Tu jest kuchnia, pusta, bo przecież pani kasyerka nie będzie się stołowała w domu — wska-

zała na przyćmioną izbę z oknem wychodzącym na kurytarz — a dalej jest pokój pani — otworzyła drzwi i struga jasnego światła z pokoju padła w ciemną kuchnię.

Weszły do pokoju, obszerne, czyste, świeżo pobielone, a mimo otwartych dwóch okien czuć było świeże wapno i wilgoć szorowanej podłogi.

Na prawo było łóżko wygodne, z materacem sprężynowym, dwa krzesła obite zieloną materią, dwa czerwona. Stolik okrągły przed kozetką, w rogu umywalnia z lustrem zawieszonym nad nią, a niedaleko okna stół w rodzaju biurka, na którym prócz bukietu z kwiatów sezonowych, stał kałamarz, pióra, bibuła. Szafa niewielka i komoda uzupełniały umeblowanie.

— Prawdziwy salon — uśmiechnęła się z dumą portyerowa — to ja tak urządziłam, bo dawniej bywałam w mieście i widywałam, jak to państwo mieszkają... Sam pan inspektor pochwalił mieszkanie, a za te kwiaty osobno zapłacił... Cóż, podoba się pani?

Janina rozejrzała się wokoło. Czysty i jasny pokój zrobił na niej miłe wrażenie. Z okien widziała tor dworca i las świerkowy, rozciągający się w głąb poza torem. Było tu ładnie, zacisznie i czułaby się szczęśliwą, gdyby nie te ciągle wzmianki o inspektorze. Każdy sprzęt, każda drobnostka mówiła do niej: to on zrobił dla ciebie, on umeblował, on dał kwiaty, on uprzedził naczelnika, portyera i jego żonę. I ta jego troskliwość stawała się jej przykrą, upokarzającą.

Na razie nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tem, gdyż posługacz złożył pakunki ręczne i szybko je rozwiązywał, a portyerowa z narzucającą się uprzejmością poczęła rozpakowywać rzeczy...

Janinę ogarnęła mimowolna obawa i rodzaj wstydu, że ci ludzie zobaczą jej znoszone suknie, fartuszy, pocerowane staniki, połataną bieliznę.

— Dziękuję, sama to zrobię — odsunęła portyerową — ja wiem, gdzie i jak ułożyć. Dziękuję pani za jej dobroć, ale wolę sama — zasłoniła sobą pakunki ręczne — proszę mi przynieść kosz i meble.

— Jeśli taka wola pani — powiedziała portyerowa tonem obrażonym, ale przypomniałszy sobie inspektora spokojnie i dodała: — gdyby pani kasyerka czegoś potrzebowała, proszę mnie zawołać.

— Dziękuję pani, sędzę, że sama poradzę.

Po ich wyjściu wzięła się gorączkowo do porządkowania rzeczy. Bieliznę ułożyła w komodzie, suknie powiesiła w szafie, a zmęczona wrażeniami i ruchem podeszła do okna. Wychyliła się i dojrzała posługaczy, niosących jej kosz i meble, a pod stacyą w cieniu stał naczelnik.

Cofnęła się i podeszła ku drzwiom, aby wskazać posługaczom, gdzie mają złożyć rzeczy. Wobec umeblowania pokojowego, nietylko gustownego, jak lśniącego i dość jaskrawego osądziła, że kosz i meble przywiezione będą wyglądały marnie i ubogo, postanowiła tedy umieścić je w ciemnej kuchni.

Wniesiono rzeczy i posługacze z wielką wprawą rozwiazali kosz, ustawili skromne meble.

— Czy może pomódz pani kasyerce w rozpakowaniu? — spytał uprzejmie jeden z nich.

— Dziękuję, sama zrobię — i sięgnęła do kieszeni po portmonetkę.

Ruch ten zauważył jeden z posługaczy i rzekł z uśmiechem:

— U nas od swoich nie bierze się, a cóż dopiero od pani.

— Odemnie? — spytała zdziwiona.

— Ano tak — i po chwili namysłu dodał: — co pan naczelnik każe, to święte. Więc nie pomódz pani?

— Nie, dziękuję.

Gdy wyjmowała pościel, książki i inne rzeczy, rozmyślała z pewną przyjemnością, że ją tak uprzejmie witają, przyjmują, narzucają się nawet na usługi. Co to jednak znaczy kasyerka, pomyślała nie bez uczucia zadowolonej ambicji, to zupełnie co innego aniżeli manipulantka. W tem przypomniawszy sobie urzędnika dyżurującego Chruszowskiego, który witając uprzejmie, przy pożegnaniu był tak chłodny. Nic mu przecież nie zawiniła, przeszła w pamięci najdrobniejsze szczegóły spotkania, a jednak... może zresztą jej się tylko zdawało?... może był tak zajęty?

Do pokoju wniosła pościel i układała na łóżku. Posprzątała jako tako, usiadła, ażeby odpocząć. Krzesło było miękkie i wygodne. Spojrzała na zegarek, było już pół do dwunastej i przypomniała sobie, że prócz trochę kawy, wypitej pospiesznie rano